NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Redaktor naczelny TADEUSZ ŚWIĘCICKI

Prenumerata miesięczna: z przesyłką pocztową lub dostawą do domu: 4,000 000 Mkp. Zagranicą podwójnie

CENY OGŁOSZEŃ: W części inseratowej na ostatniej stronie za wiersz jednoszpaltowy milimetrowy Mk. 100.000 — cała kol. Mk. 150,000 000 — pół kol. Mk. 75.000,000 — 1/4 kol. Mk. 40.000.000 — 1/8 kol. Mk. 22.000.000 — 1/16 kol. 12.000.000 — W części redakcyjnej za 1 wiersz milim. jednoszpaltowy 300.000 — cała kol. Mk. 200.000,000 — 1/2 kol. Mk. 100.000.000 — 1/4 kol. Mk. 55.000.000 — 1/8 kol. Mk. 30.000.000 — 1/16 kol. Mk. 20.000.000. — Układ tabelaryczny 50 % drożej. Ogłoszenia zagraniczne 100 % drożej. — Oprócz ceny za zajęte miejsce należytość za klisze według cen bieżących obecnie 100.000 za centm. Ogłoszenia kolor. 100% drożej. Wszelkie projekta art. wykonują na żądanie i rachunek firmy Studenci Akad. Sztuk Piękn.

Konto P. K. O. Nr. 140.260. Konto Bank Związku Spółek Zarob. w Krakowie. Redakcja otwarta dla stron od 10 — 12. Rękopisów i fotografji Redakcja nie zwraca

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

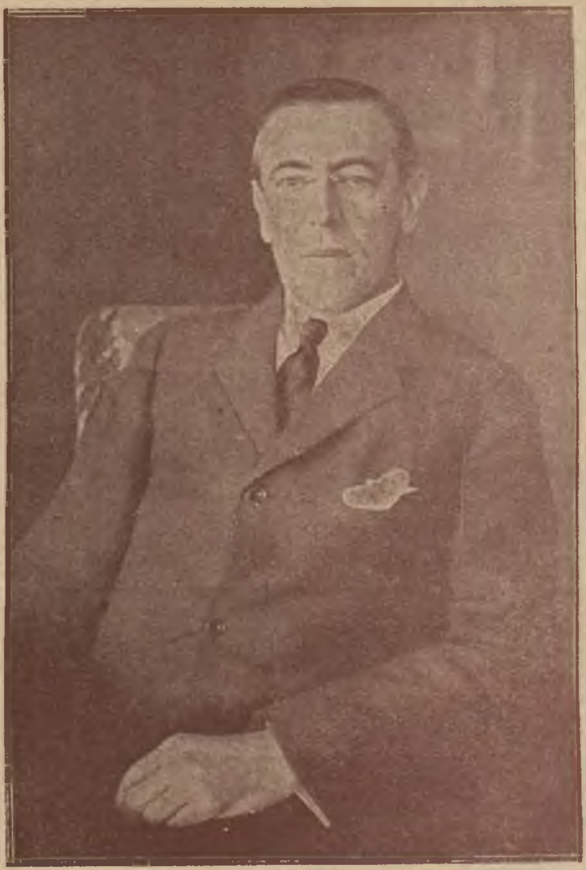
Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. **Numer pojedynczy 1,00.000 Marek.**

Rok XXI. Kraków, 9 lutego 1924. Nr. 6.

Uczczenie pamięci Włodzimierza Tetmajera



Otwarcie wystawy pośmiertnej Włodz. Tetmajera: Grupa włościan-sąsiadów Zmarłego przed obrazem „Jawnogrzesznica“



Ś. p. Woodrow Wilson.

Zgon prezydenta Wilsona.

Dnia 2 lutego zmarł w Waszyngtonie b. prezydent Stanów Zjednoczonych, Woodrow Wilson. Ze zgonem jego znika z widowni świata jedna z najwybitniejszych postaci. Uczony wielkiej miary, profesor prawa i administracji na uniwersytecie kolumbijskim odegrał w dziejach XX wieku jedną z największych ról. Za jego wpływem osobistym Stany Zjednoczone Ameryki wzięły udział w wojnie światowej. On to w każdym razie, jako prezydent Stanów uposażony we władzę większą niż niejeden z monarchów europejskich, podjął decyzję i wprowadził ją w życie.

Ameryka wzięła udział w wojnie, przeważyła szalę zwycięstwa ocalając Europę przez dyktaturę pruską i wzięła udział w układaniu traktatu pokojowego na konferencji wersalskiej.

Na konferencji tej, która była punktem najwyższym Wilsonowskiej sławy i początkiem jego zmierzchu, pragnął on osiągnąć cel olbrzymi — uporządkować stosunki w Europie na całe stulecia, oprzeć je na podstawach moralności i sprawiedliwości między narodami i uniemożliwić na przyszłość wszelkie wojny.

Były to zamierzenia gigantyczne. W wykonaniu jednak przybrały kształty niepozorne, nieraz karykaturalne. Uczony i moralista, mąż stanu, kierujący się w śród gry politycznej abstrakcyjnemi teorjami etycznemi, purytanin amerykański w gronie zawodowych doświadczonych dyplomatów, gubił się i błąkał wśród krzyżujących się wzajemnie interesów, walk i intryg — tym więcej, że teren polityki europejskiej był mu nieznany od strony życia praktycznego. To też opuszczał Europę po zawarciu pokoju rozżalony i zniechęcony, a i w Ameryce nie znalazł dla swej polityki uznania.

Wyborcy odrzucili jego ideje nowego uporządkowania świata i opowiedzieli się za tymi, którzy pragnęli wycofać się z wężowiska walk europejskich. Ze wszystkich zamierzeń Zmarłego prezydenta wcielona została tylko Liga Narodów i to w formie dalekiej od tego ideału jaki on sobie wyobrażał.

Prezydent Wilson jako reformator polityczny świata nie ujrzał zrealizowania swych najważniejszych idei. Tym nie mniej — hasła i zasady jakie wysuwał nie przebrzmiały bez śladów na świecie i niejeden jeszcze owoc przyniosą.

Był to wielki człowiek i dzieje zapiszą jego nazwisko w rzędzie największych prezydentów Ameryki i jako jednego z najwybitniejszych, choć niezawsze zrozumianych i nieuwieńczonych doraźnym łatwym laurem powodzenia mężów stanu.

A w Polsce nazwisko jego pozostanie na długo nie tylko zapisane w księgach, i na karcie historji naszej, lecz i głęboko wyryte w sercach Polaków, jako jednego ze wskrzesicieli Ojczyzny naszej, jako tego który w warunkach pokojowych wobec świata całego zażądał odbudowy niepodległej Zjednoczonej Polski i jako tego, który w pierwszych najcięższych chwilach po odzyskaniu wolności, wraz z przyjacielem i pomocnikiem swym Hooverem organizował wydajną a serdeczną pomoc dla nas.

A. S.

Uczczenie pamięci Włodzimierza Tetmajera.

Jak wielką lukę stanowi w społeczeństwie zgon Włodzimierza Tetmajera i jak doniosłą choć skromną i cichą odgrywał on rolę w życiu kulturalnem, świadczyć o tem mogą najlepiej fakty. Do dziś w kołach szerokich i najszerszych, nietylko w kołach ludzi serdecznością i wspomnieniami związanych ze Zmarłym, ale i wśród obcych nawet ludzi, luźnie związanych ze środowiskiem na które promieniował wpływ zmarłego Artysty — we wszystkich tych kołach do dziś nie zagasły echa Jego zgonu i ani na jotę nie zatarło się żywe wspomnienie.

Wyrazem tego były uroczyste obchody, zorganizowane przez Komitet, który niemal samorzutnie powstał w Krakowie z łona kół artystycznych, literackich i politycznych, a nad którym to Komitetem objęli protektorat marszałek Piłsudski, serdeczny przyjaciel Zmarłego i marszałek Sejmu p. Rataj.

Z inicjatywy Komitetu otwartą została w piątek dnia 1 lutego wielka wystawa pośmiertna Włodzimierza Tetmajera w salach pałacu Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych, na którą przybyły tłumy całe, nawet najrzadszych gości wystawowych bo włościan z Bronowic i Toni. W sobotę zaś 2 lutego w sali Teatru Słowackiego odbyła się uroczysta akademja ku uczczeniu pamięci Zmarłego.



Z wystawy dzieł Tetmajera: Obraz „Manifest Połaniecki".

Teatr wypełniła po brzegi publiczność, reprezentując świat polityczny, literacki i naukowy naszego miasta. Obok tego pięknie odbijały stroje włościan, którzy licznie przybyli oddać hołd cieniom swego pracownika i opiekuna



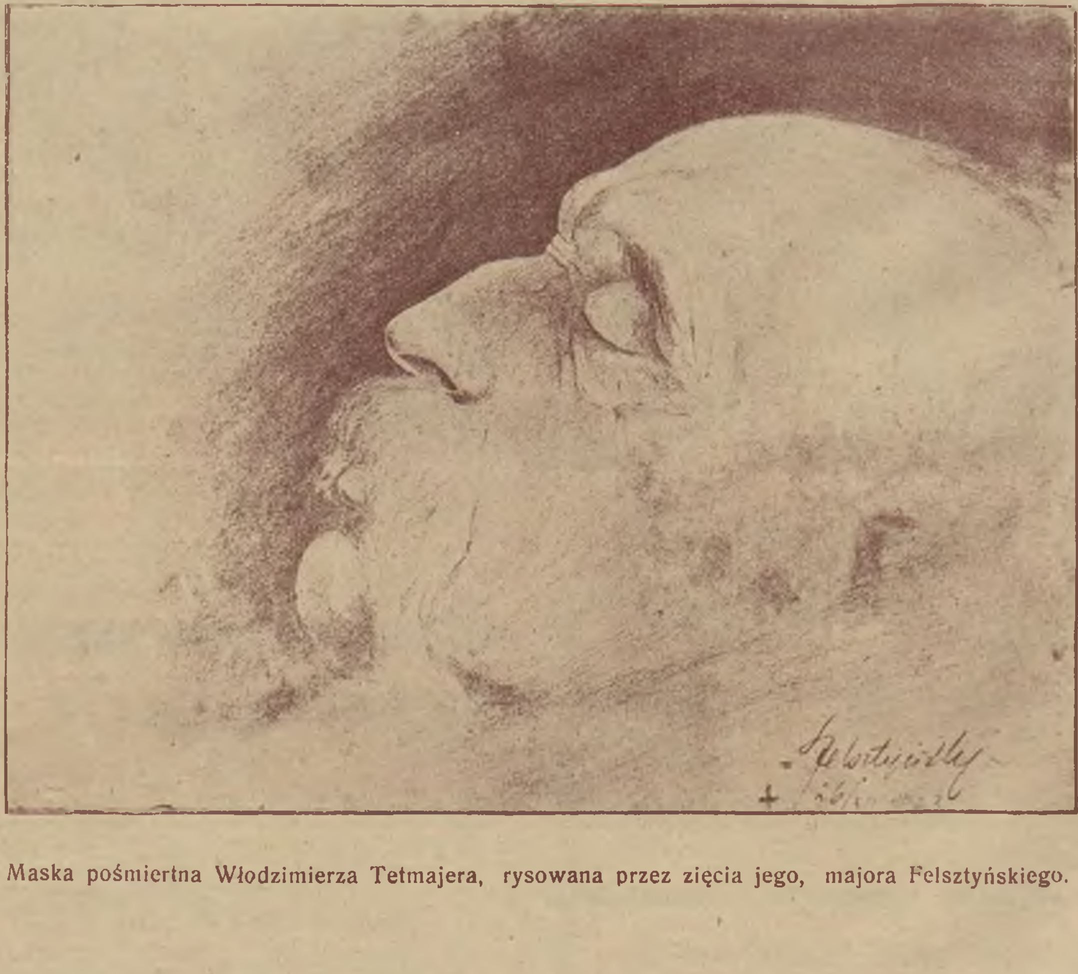
Ś. p. Włodzimierz Tetmajer w staropolskim kontuszu na progu dworku swego w Bronowicach.

Po słowie wstępnem dyr. Trzcińskiego, przemawiał przy wtórze marsza żałobnego Chopina prez. Wodzinowski, ujmując działalność Zmarłego na polu sztuki, poczem dłuższy referat o Tetmajerze, jako poecie wygłosił prof. Pochmarski. Prelegent na podstawie przeważnie rękopiśmiennego materjału przedstawił zasadnicze tony lutni Wł. Tetmajera, podkreślając jego umiłowanie rycerstwa, idei niepodległości, dążenie do zgrania wsi z miastem, a wreszcie w słowach pełnych liryzmu odmalował dramat dworku bronowickiego na tle bohaterskiej śmierci syna, podpor. Kazimierza Tetmajera.

W długim wywodzie przedstawił działalność ś. p. Włodzimierza na polu politycznem hr. Rey, przeprowadzając dzieje bogatej działalności Zmarłego, aż do dni ostatnich.

Szereg hołdów składanych cieniom zmarłego rozpoczął imieniem „Strzelca" i Związku Legionistów p. Tomaszkiewicz, zaznaczając pracę Wł. Tetmajera nad budowaniem zbrojnego ruchu od początku zaistnienia Strzelca, aż do ostatnich dni życia, ukochanie sprawy niepodległości i gorące przywiązanie do wojska, oraz idei strzeleckiej.

Następny hołd złożyli przedstawiciele ludu bronowickiego pp. Bryła i Serczyk z Toń. Imieniem Rady Sztuki, Klubu Społecznego i Szkoły Przemysłu Art. — p. Raszka. Imieniem Podhala dr. Kipta; imieniem komitetu sztandaru dla 20 p. p. — p. Górski, na koniec delegacja oficerów w imieniu której przemówił mjr. Walczyński



Maska pośmiertna Włodzimierza Tetmajera, rysowana przez zięcia jego, majora Felsztyńskiego.

Akademję cechował nastrój uroczysty i podniosły.

Wszystkie warstwy, wszystkie koła i prądy zgromadziły się w dniu tym, by zgodnie uczcić pamięć nieodżałowanego człowieka, artysty obywatela.

Zimowa Olimpjada w Chamonix.

W sobotę 26-go stycznia odbyło się otwarcie Olimpjady w Chamonix. Pierwszy dzień wypełniły biegi łyżwiarzy na 500 i 5.000 m. Do zawodów w szybkiej jeździe na 500 m. zgłosiło się 31 zawodników. Pierwszy przybył Jewtraw (Stany Zjedn.), osiągając czas 44 sek., drugi Olsen (Norwegja) 44.8 sek.



Olimpjada w Chamonix: Uroczysta chwila wywieszenia sztandaru olimpijskiego nad trybuną sędziów.

Polska reprezentowana przez p. Jucewicza (naszego korespondenta z Rewla, którego korespondencję o sporcie estońskim zamieszczaliśmy przed 3 tyg. w „Nowościach“) uzyskała 16 miejsce, co i tak, zważywszy na słaby stosunkowo rozwój naszego sportu, jest wynikiem wcale niezłym. Czas Jucewicza — 49.6 sek. jest zupełnie dobry nawet z europejskiego punktu widzenia. W każdym razie rekord polski (dotychczas 50.1 sek.) został pobity. Formę swą zawdzięcza Jucewicz długotrwałym ćwiczeniom w Estonji, gdzie stale mieszka.

W drugim dniu zawodów (wyścigi w szybkiej jeździe na 1500 m.) pierwsze miejsce zdobył Thumbert (Finlandja), uzyskując czas 2 m. 20 sek. W klasyfikacji ogólnej Jucewicz zajmuje 8 miejsce, zas w państwowej — Polska zajęła miejsce 7.

Ogółem z wyników naszych w zawodach łyżwowych należy być zupełnie zadowolonym; nie trzeba również brać tragicznie porażki naszej patroli wojskowej narciarzy. Stanęła ona w bardzo dobrej formie. 30 kilometrowa trasa była tak ciężką, jakiej się u nas nie zna. Ciągłe zmiany terenu, wyboje, bardzo strome podejścia i t. d. stawiały naszych narciarzy przed bardzo trudnem zadaniem. Mniej więcej na 20 kilometrów patrol w znakomitej formie zaczęła doganiać Francuzów i Czechów, gdy zasłabł Witkowski. Powodem tego było rozrzedzone na tak znacznej wysokości powietrze.



Olimpjada w Chamonix: Delegacja polska w defiladzie narodów na otwarciu olimpjady. (Sztandar polski niesie korespondent dzienników warszawskich, znany publicysta p. Kazimierz Smogorzewski.

Lekarz na punkcie kontrolnym zabronił mu dalszego udziału w biegu. Mimo pęknięcia narty por. Wójcickiego, reszta patroli kontynuowała bieg i dobiegła w dobrym czasie na miejsce, gdzie odbywało się strzelanie, jednak z powodu braku Witkowskiego, udziału w strzelaniu nie wzięła.

Bieg pań nie odbył się zupełnie.

Należy żywić niepłonną nadzieję, że za cztery lata, przy intenzywnem poparciu naszego społeczeństwa, uzyska Polska zupełnie inne wyniki, ale na razie dobre są i te.

Odbywa się obecnie zbiórka na fundusz Olimpijski. Według dotychczasowych obliczeń wynika, że 75% ofiar wpłynęło od członków armji czynnej. Czy nie wstyd to dla zamożnych cywilów? Trzeba pamiętać, że pomyślność wyników zależy conajmniej w połowie od funduszu. Niech każdy zatem pospieszy w miarę możności ze złożeniem datku.





Olimpjada sportów zimowych w Chamonix: 1) łyżwiarze szwedzcy Blomgren i Blomquist. — 2) Łyżwiarz belgijski Moens.

Dar Polski dla marszałka Focha.

Paryż styczeń 1924.

Pięknem zakończeniem podróży Marszałka Focha do Polski, a działalności komitetu przyjęcia M. Focha w kraju była uroczystość ofiarowania marszałkowi pięknego jego portretu (naturalnej wielkości na tle pola bitwy). Uroczystość ta odbyła się w Poselstwie Polskiem w Paryżu we wtorek 22 stycznia b. r. Imieniem komitetu przemówił prezydent m. Warszawy Baliński, zapewniając marszałka o wiecznej wdzięczności Polski dla niego jako dla zwycięskiego wodza wojsk sprzymierzonych i współtwórcy odbudowy Polski, o sławie jego imienia wiecznej w Polsce. Z siłą i serdecznością zarazem odpowiedział marszałek Foch stwierdzając, iż Bóg Polsce powstać pozwolił, gdyż ona na to zasłużyła i życząc jej — zapewnienia stałego zdobytej wolności przez wytwałą pracą i dojście do normalnych warunków wewnętrznych. Podziękował i mistrzowi Kossakowi ściskając mu dłoń.

Wśród gości ze świata politycznego i wojskowego byli obecni Wład. Mickiewicz, książę Czartoryski, senator Noulens, pani prezydentowa Millerand i wiele wybitnych osobistości z pośród przyjaciół Polski w Paryżu.

Przy tej okazji podajemy czytelnikom fotografję portretu Kossaka, którego kopja przeznaczona jest dla Muzeum Wojska w Warszawie. *(jat.)*



Dar Polski dla marszałka Focha: Portret marszałka Francji F. Focha, w towarzystwie oficerów sztabowych, którzy byli w Polsce na uroczystościach majowych r. ub., dzieło Wojciecha Kossaka, ofiarowany marszałkowi przez delegację w Paryżu.



P. minister Darowski, dotychczasowy minister pracy obecnie mianowany został posłem polskim w Moskwie

Od Wydawnictwa.

Mimo ciągłych znacznych podwyżek cen papieru, druku, chemikalji, cynku i robocizny wydawnictwo ze swym uszczerbkiem nie podwyższało ceny egzemplarza w stosunku do wzrostu drożyzny, a także do ceny innych tygodników, chcąc w ten sposób ułatwić Szan. Czytelnikom i prenumeratorom nabywanie naszego tygodnika.

Wobec pewnego ustalenia się obecnie cen i spodziewanej stabilizacji marki przypuszczamy, że również cenę tygodnika będziemy mogli stale utrzymać na tej samej wysokości. Cena obecna numeru pojedynczego wynosi:

1000.000 Mkp.

Prenumerata miesięczna z przesyłką pocztową lub dostawą do domu:

4.000 000 Mkp.

Prenumeratę kwartalną i roczną ustali się w najbliższym czasie. Dla prenumeratorów, którzy wpłacą za m. luty należytość do 12 II. nie obowiązuje żadna dopłata. Po 12 II. dopłata 800.000, Mkp.

Wydawnictwo Nowości Illustrowanych.



Rotmistrz Adam Romer, nowy szef wydziału prasowego Prezydjum Rady Ministrów, wybitny publicista, którego kilka korespondencji politycznych z Warszawy zamieściliśmy w ub. miesiącu na łamach „Nowości".





Chamonix: 1) Przedstawicielstwo Norwegji. W środku najmłodsza w świecie łyżwiarka panna **Sonia Henrie**. — 2) Przysięga olimpijska współzawodników stających do zawodów.

Fryderyk Mauzens.

Z BAGNA PARYŻA

12

— Gdy w odpowiedniej chwili będę prosiła swych rodziców, by wyrzekli się myśli o ułożonym dla mnie związku, zapytają się mnie, czy wybrałam sobie kogo innego... Odpowiem im, że tak...

Śledziła wyraz twarzy Maurycego, która zmarszczyła się boleśnie. Młody inżynier nie mógł owładnąć sobą wobec tych słów, które dotykały jego najtajniejszych uczuć. Kamilla nie miała, już obecnie żadnych wątpliwości co do miłości, jaką wzbudzała.

— I dodam im, że za męża chcę mieć inżyniera... — ciągnęła dalej.

— Inżyniera? — jąkał się Maurycy.

— Tak... jak pan... A naprzykład dlaczegoby nawet nie pana samego... o ileby to nie było panu bardzo niebrzyjemne.. Co pan na to powie?...

Ton Kamilli był żartobliwy, głos jednak okazywał, jak bardzo i ona jest wzruszoną. Maurycy schwycił za drzwiczki dorożki Zdawało mu się, że ziemia usuwa mu się z pod nóg. Zamknął oczy. Z pod powiek wypłynęły mu łzy i potoczyły się po twarzy.

— Śnię chyba... — szeptał. — Och! lękam się obudzić z tego snu.

Tymczasem Piotr, Joe Smith i miljarder rozmawiając, czekali na inżyniera.

— Rodzice moi — mówił Piotr — dzisiaj zapewne otrzymali list o moim powrocie... Są już z pewnością w drodze do Francji... Z dzienników włoskich dowiedzą się prawdopodobnie o mym pojedynku i wyniku.

— Bardzo to ich zmartwi.. — rzekł Lewis Jackson.

— Ale będą zarazem spokojni... dodał Joe Smith. — Podróż ta wypadła w samą porę...

— Well! — potwierdził miljarder. — Wszystko więc jest jak najlepiej. Do tej pory ucierpiałem tylko ja jeden.

Roześmiał się krótko i mówił dalej:

— Przeciwnik mój nie chciał, jak Turner, zgodzić się na broń... Wolał roztropnie wjechać na mnie samochodem..

— Wuj ciągle utrzymuje — zapytał Piotr — że ten wypadek nie jest wypadkiem tylko?...

— Mniejsza z tem!... Nie jestem bardzo tem przejęty!... Cóż może znaczyć zgnieciona ręka i dwie rany na głowie? Byłem ubezwładniony przez wczorajszy dzień; dzisiaj rano.. wstałem z łóżka tylko dlatego, by być tutaj. Obecnie jednak odzyskałem już swe siły i mogę dalej prowadzić badanie.. Well! Ponieważ wspomniałem o badaniu, powiem zaraz, co postanowiłem... Podzielimy swe zajęcia...

— W jaki sposób? — zdziwił się Piotr

— W sposób bardzo prosty i logiczny. Ponieważ ja prowadzę sposób życia bardzo skromny, nie mogę się mieszać do ludzi światowych... Nie będą mnie uważali za swego... A przytem przedstawiłem się im jako biedak, trudnoby więc mi było dla pozyskania ich szacunku robić z siebie znowu bogacza...

— Istotnie.

— Ja przeto będę prowadził śledztwo na poczcie, w hotelach, po stróżach, wogóle tam, gdzie nie potrzeba kłaść na siebie obowiązkowo żakietu popołudniu, a fraka lub smokinga wieczorem... Piotrze, udasz się na ulicę Laugier, by zobaczyć pannę Dubois...

— Kiedy mam tam iść?... — zapytał Piotr, blednąc.

— Well! Natychmiast. Róbmy wszystko po amerykańsku. Co zaś do Smitha, to przedstawię go Australczykowi... Postara się on wejść z nim w bliższe stosunki i wyciągnąć z niego wszystko.

— Jakto? — zdziwił się Piotr. — Poinformował wuj pana Smitha o wszystkiem?

— Tak — odparł Juljan Maixent. — Dzisiaj rano. Pomoc jego wcale nie będzie zbyteczna, jeżeli chcemy rozwikłać tę sprawę, która z dnia na dzień gmatwa się coraz bardziej. A więc Smith, przedstawię pana pod pańskiem nazwiskiem jako bogatego Amerykanina, który jeździ dla swej przyjemności.

— Dobrze — odparł sekretarz.

— Co zaś do wydatków, to daję panu carte blanche.

— *All right!*

— A co pan sam myśli o tej sprawie? — zapytał Smitha Piotr.

— Sądzę, że jest bardzo ekscytującą.

— Chce powiedzieć *very exciting* — dodał Juljan Maixent — czego nie można dosłownie przetłómaczyć na żaden język. *Well:* Smith! *Hallo!* mój chłopcze! Ponieważ jest pan *exciting*, niech pan szuka gorliwie i wpadnie na jaki dobry ślad lub choćby wskazówkę... Za pierwszą ciekawą wiadomość, jaką nam pan przyniesie, otrzyma pan sto tysięcy dolarów.

— *All right!* — powtórzył flegmatycznie Smith.

Rozmawiający zamilkli nagle. W wyjściu ukazał się Maksym Duret i Raul de Lagunan.

— Ach! Szukamy panów! — zawołał prezes. — Chcieliśmy wyrazić panu swą radość, że wszystko skończyło się szczęśliwie.

Ścisnął przytem czule ręce Piotra. Baron czynił to samo. Potem zajęli się Piotrem Maixent.

— Jakże się cieszę bardzo, że i pana wreszcie widzę na nogach — odezwał się prezes

— Wiem, że przychodził pan kilkakrotnie do hotelu dowiadywać się o me zdrowie — odrzekł Amerykanin. — Serdecznie dziękuję...

— Pożerał mnie niepokój... — mówił dalej wuj Łucji. Trzeba było trafu, że to ja właśnie znajdowałem się w tym samochodzie!... W dodatku wszystkiego szofer utrzymuje, że gdybym ja nie zrobił tego bezwiednego ruchu i nie schwycił go za rękę, nicby się nie było stało.

— Nie mówmy o tem — odparł niewzruszony Lewis Jackson. — *Well,* — zwrócił się do Piotra. — Twój przyjaciel Terrade nie powraca. Czy będziemy tutaj czekali na niego?

— Ja jadę — odparł młody człowiek.

— *All right!* Znajdziesz mnie w hotelu koło piątej godziny.

Piotr siadł do samochodu i podał szoferowi po cichu adres pralni Lambert

— Przepraszam panów — odezwał się Maksym Duret — lecz muszę rozmówić się z Karolem Turnerem o pewnem wielkiem przedsiębiorstwie, o którem mi wspominał... Idę go poszukać..

Prezes, baron i obydwaj Amerykanie wrócili do welodromu. Gdy wchodzili bocznem przejściem na tor, rozległ się nagle strzał i kilka osób pobiegło naprzód. Był to przeciwnik Piotra Cartegue'a i dawał właśnie dowody swej celności, a reporterzy śpieszyli odfotografować przestrzeloną kropkę nad i.

Maksym Duret zatrzymał się wraz z swymi towarzyszami, którzy pytali się wzajemnie.

— Co to jest?

W tej samej prawie chwili ujrzeli, iż z grupy osób wysuwa się Karol Turner i idzie naprzeciw nich. Istotnie fałszywy Australczyk chciał już wreszcie uwolnić się od zawodowego natręctwa dziennikarzy i ciekawości innych widzów. Świadkowie jego zabrali pudełko z pistoletami, towarzysząc mu. Reporterzy, zachęceni łatwością, z jaką dawał im poprzednio wyjaśnienia, okrążali go w dalszym ciągu, idąc nawet przed nim tyłem.

— Panowie! chwilę spokoju! — prosił Panajon. — Czyż nie dosyć już powiedziałem? Jesteście panowie nienasyceni!

Uśmiechając się, starał się uwolnić z rąk, które go przytrzymywały z tyłu, lub zagradzały z przodu. Naraz przed Australczykiem zjawił się jakiś nowy, wysoki mężczyzna, o chudej, wygolonej twarzy i dziwnym wyrazie. Miał on na sobie nizki, płaski kapelusz, z tyłu zapinany kołnierzyk, jaki noszą duchowni i długie aż do kostek palto ciemno zielonego koloru.

— *Ach!* — zaczął gardłowym głosem o fałszywym akcencie. — Jestem korespondentem angielskim. Pan, jako mój rodak, nie może mi odmówić dania kilku szczegółów!

I wymienił przytem nazwę pewnego wielkiego dziennika angielskiego.

— Proszę! — odparł Karol Turner ze zmęczonym już uśmiechem.

— Czytałem wczoraj wieczorem, że pochodzi pan z jednej z najstarszych rodzin angielskich.

— Tak, z najstarszych i najstawniejszych!

— Nazwisko jednak Turner nic mi nie mówi!

— Nie jest ono moje własne... Jako młodszy syn bez majątku, wziąłem się do przemysłu, pozostawiając swe tytuły i herby tym krewnym, którzy nie byli zmuszeni zakładać fabryk, by zdobyć środki do życia. Turner jest to przybrane nazwisko, które nie rażąc nikogo, może bardzo dobrze figurować na puszkach z produktami spożywczemi lub na rachunkach... Prawdziwe me nazwisko, którego nie chcę wymieniać, nie odpowiadałoby dla handlu... Chociaż jestem uważany tylko za króla czekoladowego, lecz w żyłach mych płynie kilka kropel prawdziwej krwi królewskiej.

W istocie rzeczy, przemysłowiec, którego nazwiska Panajon nadużywał obecnie, nigdy nie był namaszczany na króla czekoladowego i nie pochodził wcale z wybitniejszej rodziny. Panajon jednak od chwili, gdy się przyoblekł w jego skórę, chciał uchodzić za człowieka niezmiernie bogatego i ze sławnej rodziny. B ta to słaba strona Panajona, który specjalne zadowolenie znajdował w mistyfikowaniu ludzi i ich olśniewaniu. Syn ubogiego sklepikarza z prowincji, wychowany w bardzo skromnych warunkach nie marzył o niczem innem, jak tylko o tytułach i miljonach. Nie przeszkadzało mu to jednak porozumieć się złodziejską gwarą z najgorszymi opryszkami, jak Tetard, lub też przebierać się w frak lokajski albo bluzę robotniczą, gdy wychodził na nocne wyprawy. Zasiliwszy swą kieszeń, wciskał się pomiędzy ludzi światowych, przybierając szumne nazwiska i ubierając się w najmodniejsze kostjumy.

Przy ostatnich słowach fałszywego Australczyka na twarzach obecnych, znających angielski język, dało się zauważyć nowe zdziwienie. Niewrażliwemi na to pozostali tylko obydwaj Amerykanie i Maksym Duret.

— Na tem jednak, drogi ziomku — dodał złodziej — proszę skończyć swój interwiew. Odchodzę. Nie mogę pozwolić, by świadkowie moi tak długo na mnie czekali...

I stanowczym ruchem dał poznać obecnym, iż chce być już sam skierował się pośpiesznie do bocznego przejścia. Poszli za nim tylko Duret, Raul de Lagunan, Amerykanie i obydwaj jego świadkowie.

Gdy znaleźli się sami, filantrop wziął Australczyka pod ramię i usuwając się z nim na bok, rzekł do obecnych:

— Panowie mi wybaczą, lecz dzisiaj nie będę już widział pana Turnera, a mam z nim do pomówienia w ważnej sprawie nie cierpiącej zwłoki!

I zaczął rozmawiać z mniemanym królem czekoladowym.

— Dałbym dziesięć tysięcy dolarów, by ich słyszeć! — szepnął Juljan Maixent do ucha Smithowi.

Nie spuszczał też swego bystrego i przenikliwego wzroku z postaci tych dwóch ludzi. Z twarzy ich jednak nie można było się domyśleć, o czem rozmawiają. Zwłaszcza twarz Maksyma Dureta nie wyrażała żadnego uczucia; Karol Turner miał zaś na ustach tylko lekki, przymuszony uśmiech, który świadczył o pewnem niezadowoleniu.

— Cóż to wszystko znaczy? — zapytał filantrop

— To wszystko? Co takiego? — odrzekł Panajon.

— Przedewszystkiem te artykuły w dziennikach!

— No więc co?

— Czyś pan zwarjował, że ogłaszasz takie rzeczy?

— Ależ ja nic nie dawałem do ogłaszania!

— Dziennikarze wymyślili sławne pańskie pochodzenie, że pan przybył do Europy, by zakładać trust czekoladowy i że miał pan zamienić z Piotrem Cartelegue'iem ośm kul na dziesięć kroków?

— Tak, oni wymyślili — potwierdził Panajon. — Czy pan ma jeszcze jakie złudzenie co do prasy?

— A ta historja z krwią królewską, która płynie w pańskich żyłach? To także tylko dziennikarze opowiadali podobne bajki. A to popisywanie się z swą celnością?

— Lecz co tu jest w tem złego?

— Złego? Pan tego nie widzi? Ależ Paryż nie będzie się niczem więcej teraz zajmował, jak tylko panem!

— Właśnie tego chcę.

— I prawdziwy Karol Turner dowie się o tem, co tu się dzieje na jego konto!

— Ach! jest więc prawdziwy?

— Tak... Na szczęście bawi on teraz w Rosji i wyjeżdża na Syberję... dokąd odgłosy z Paryża nie dochodzą...

— A więc czego się pan boi?

— Odgłosy z Paryża nie dochodzą tam, jeżeli nie są zbyt głośne... Lecz to, co pan tutaj wyprawia, rozejdzie się po całym świecie aż pod bieguny!... I nagle zjawi się tutaj Karol Turner, by dowiedzieć się, kto i w jakim celu przybrał sobie jego nazwisko?

— Tak, to prawda... Byłoby to niezwykle śmieszne...

— Śmieszne? Pan uważa to za śmieszne? A coby pan wtedy uczynił?

— Nurka, ma się rozumieć. I panu nic innego nie pozostawałoby do zrobienia.

Mimo całego panowania nad sobą i mimo, że czuł i wiedział, iż jest obserwowany, Maksym Duret nie mógł powstrzymać wyrazu zmieszania na swej twarzy. Zachował ten sam spokojny i lodowaty ton, zmienił za to temat.

— Otrzymałem pański raport o śledzeniu panny Dubois — rzekł. — Czy jest pan pewny ludzi, którzy to robią?

— Tak, o ile można być pewnym szpicli — odparł Panajon — Zwróciłem się do jednego z najlepszych biur... Przychodził do mnie sam dyrektor biura... Jest to opryszek niepośledniej miary... Zdaje mi się, że dobrze płacąc, będziemy mogli być pewnymi... Ach! a propos! Wynosi to sto franków dziennie... zapłaciłem za tydzień naprzód... Winien więc mi jest pan siedmset franków.

— Pańska ajencja należy do dość kosztownych!

— Uważa pan, że to jest drogo?

Dla Panajona wszystko było taniem.

— Dosyć! — przerwał Duret. — Mniejsza z tem! Główną rzeczą jest, abyśmy mieli dobrych ajentów.

— Dyrektor zapewniał mnie, że wybrał najzręczniejszych ludzi. Jest ich dwóch, jeden ciągle na ulicy, by śledzić pannę Dubois, a drugi zamieszkał na strychu koło jej pokoiku... Pierwszy ciągle nad nią czuwa i tylko od czasu do czasu idzie do winiarza na przeciwko, nie tracąc ani na chwilę z oka domu, gdzie znajduje się pralnia... Drugi mieszka na jednym z nią korytarzu i nie rusza się z niego, obserwując przez uchylone drzwi jej pokój. Żałuję tych obu ludzi, zwłaszcza tego ostatniego, który za jakie pięć franków dziennie, musi w ten sposób ogbywać prawdziwie więzienną karę... Lepiejby zrobił, gdyby się wziął do kradzieży, zamiast trudnić się podobnemi rzeczami!

— Przejdźmy do czego innego — przerwał Duret. — Czy pan dawał już z nowego mieszkania bieliznę do prania?

— Nie wiem — odrzekł Panajon zdziwiony podobnem zapytaniem. — Euzebiusz tem się zajmuje...

— Euzebiusz?...

— Mój służący...

— Ach! tak!...

— Ale zaraz... Zdaje mi się... Tak, tak, rzeczywiście! Euzebiusz dawał koszule.. Przypominam sobie, że pralnia znajduje się przy ulicy de Rocher...

— A czy już panu odniesiono te koszule?

— Nie. Przychodzili tylko po nie.

— Kto przychodził?

— Jakaś młoda praczka.

— Widział ją pan?

— Owszem.

— Jak wygląda?

— Jakto, jak wygląda?

— Brzydka, czy ładna? Młoda zupełnie, czy też starsza? Blondynka? brunetka?

— Aha! Zaraz sobie przypomnę... Tak... tak... Rzeczywiście, bardzo przystojne! Urocza brunetka!

— Na ile lat wygląda? Piętnaście? Dwadzieścia?

— Na więcej, niż piętnaście, a mniej niż dwadzieścia.

— Bardzo dobrze! Wie pan, co ma pan teraz czynić?

— Nie...

— Postara się pan, by ta mała przychodziła do pana jak najczęściej zabierać bieliznę i odnosić czysta... I tak się pan urządzi, by przyjmować ja samemu.. Rozumie pan?...

— Rozumiem.

— I będzie pan eleganckim?

— O, tak!

— Dobrze, tylko zrozumiejmy się! — mówił dalej Maksym Duret. — Mówię, eleganckil nic więcej! Niech ona w dalszym ciągu pracuje skromnie w swej pralni, tylko w danej chwili niech będzie gotowa rzucić tę pralnię dla pana... Pojmuje pan?

— Doskonale.

— Innemi słowy, niech pan się stara o nią, nie posuwając się jednak za daleko... Niech pan tylko upewni się, aby w chwili, gdy pan otworzy jej swe ramiona, ona w nie wpadła...

— W takim razie skończę na tem, że je jej otworzę.

— Tak.. lecz wtedy, kiedy ja panu powiem... Nie przedtem...

— Zgoda... Pan tylko kazał mi się postarzeć i przyprawić sobie bokobrody, z któremi mi bardzo niewygodnie... To także nie ułatwia mi zadania i zwycięstwa, jakiego się pan po mnie spodziewa...

— By podobać się kobietom, nie potrzeba być koniecznie młodym i pięknym...

— Zwłaszcza, jeżeli jest się hojnym...

— Będzie pan nim...

— Bardzo dobrze. Jesteśmy w zgodzie!

— Mogę liczyć na pana?

— Bezwątpienia.

— Doskonale! Jeszcze raz przepraszam panów, lecz wiadomo, że sprawy są sprawami.

Maksym Duret mówił teraz głośniej.

— Trust ten jest na dobrej drodze? — zapytał baron de Lagunan.

— Na bardzo dobrej — odpowiedział Panajon.

— Panie Turner — zwrócił się do niego Julian Maixent — pozwoli pan, że przedstawię panu jednego ze swych znajomych, który również jest wybitnym przemysłowcem... pan Jeo Smith z Chicago...

— *Hallo! sir!* — odezwał się Amerykanin. — Zdaje mi się, że to pan trafia bez celowania w punkt nie większy od dolara? *Hallo!* Jest to niezwykła celność! Z przyjemnością wypiłbym z panem szampana!

— Z wielką przyjemnością — odrzekł Panajon. — Po pojedynku śniadanie... Był pan obecnym przy jednem mam nadzieję, że pan zechce być i na drugiem?

— *Well!* Przyjmuję! Ale pod warunkiem, że obiad zje pan razem ze mną!

— Bardzo chętnie! Baronie — mówił dalej złodziej, zwracając się do Raula de Lagunan — jedziemy teraz do Cosmopolitan Hotel. Należy pan do nas?

— Serdecznie dziękuję, drogi panie, lecz jest to niemożliwe! Jestem zbyt ściśle związany z Cartalegue'ami.

— A pan, mój drogi Maksymie?

Panajon patrzył na Maksyma Dureta.

— Również niemożliwe i z tych samych powodów — odparł filantrop.

Panajon wahał się przez chwilę. Zaprosił wszystkich z wyjątkiem Juljana Maixenta, Nie było to grzeczne. Amerykanin jednak miał wygląd gościa. który dlatego tylko znajduje się przy stole, by nie było fatalnej trzynastki.

— Ach! — zdecydował się złodziej. — Nie upokarzajmy tego biedaka!

I dodał głośno:

— Panie Maixent, przynajmniej pana będziemy mieli z sobą.

— Dziękuję uprzejmie, lecz mam przyjaciela, który oczekuje już mnie ze śniadaniem...

— Trudna rada!... Zawiódł nas i doktór... Wypadła mu jakaś operacja... Będzie więc nas tylko czterech: pan de Beandrioowit, pan Garrigue, pan Smith i ja... *All right!* Zmieścimy się w jednym samochodzie.

— Nie mogę panom towarzyszyć do Cosmopolitan Hotel — odezwał się Raul de Lagunan. — Lecz może spotkalibyśmy się po śniadaniu u „Neurasteników"?

— Zgoda! — odparł Panajon.

Wszyscy skierowali się do wyjścia i znaleźli się na ulicy Parmentier, gdzie oczekiwały na nich pojazdy. Złodziej rozdawał uściśnienia dłoni, potem siadł z gośćmi do samochodu, w którym przy szoferze znajdował się w liberji Tetard. Samochód zatrąbił i zaraz ruszył.

Na zakręcie przy ulicy Villiers samochód zwolnił biegu. Ciekawi, wychodzący z welodromu zatrzymali się, poznając bohatera dnia. Uniosły się w górę kapelusze i rozległo się kilka okrzyków. Panajon kłaniał się wszystkim z godnością. Nie posiadał się z radości

— Co za dzień! — rozmyślał radośnie. — Sensacyjny pojedynek!... Interwiewy i fotografowanie... Tryumfalny powrót... Zapominam o najpiękniejszej rzeczy: strzał z pistoletu! To było jednak przygotowane!

By zrozumieć należycie to ostatnie zdanie, trzeba zwrócić uwagę na to, iż Panajon był bardzo miernym strzelcem. Będąc prawie pewnym, iż kula jego nie trafi do celu, choćby nawet stał niedaleko od niego, żądał przy pojedynku dużego dystansu. Nie trafi przeciwnika przy takiej odległości, ale w ten sposób sam się zabezpieczy od jego kuli. Ubezpieczywszy się co do rezultatu spotkania, przedsięwziął środki, by olśnić zgromadzonych swoją wielkodusznością a zarazem celnością. W tym właśnie celu wyszukał wśród swych narzędzi złodziejskich, świder grubości kuli pistoletowej i wręczając go wraz z ślepą latarką Tetardowi, polecił mu, by w afiszu na ogrodzeniu welodromu wyświdrował dziurę w kropce nad „i" lub w środku „o". Tetard wykonał w nocy z łatwością to zlecenie, dzięki czemu Karol Turner mógł nazajutrz zadziwić wszystkich swoją niezrównaną celnością.

XII.

Gdy prasowaczki wyszły wreszcie na ulicę, rozeszły się każda w swoją stronę. Helena miała duży kawałek drogi do zrobienia, by dostać się do swego domu. Leontyna jadła zwykle śniadanie w mleczarni. Stołowała się tam i Berta, przed śniadaniem jednak kupowała sobie zeszyt sensacyjnej powieści, którą czytała przy jedzeniu.

Julja, która zawsze potrafiła znaleść pretekst do opuszczenia pracy przed swemi towarzyszkami, już przed dwunastą siedziała za stołem w szynku, otoczona swymi przyjaciółmi. Z nimi również jadała obiad z tą tylko różnicą, iż nie w mieście, lecz za fortyfikacjami. Ludwika według swego zwyczaju kupiła sobie kawałek mięsa i wróciła do tego samego domu, w którym pracowała na parterze, a mieszkała na szóstem piętrze. Przeszła przez wybrukowane podwórze i weszła na boczne schody, ciemne i zawsze oślizgłe od wilgoci. Nie spieszyła się. Nikt na nią nie czekał. Jej biedny, mały pokoik, czysty lecz pusty, wydawał się jej jeszcze smutniejszym, zwłaszcza, iż nie miała naprzeciw przy stole Ewy. Piękna brunetka znalazła dla siebie miejsce w innej dzielnicy. Byłoby dla niej zbyt męczącem wracać na obiad na ulicę Laugier, lub choćby przychodzić na noc późnym wieczorem, gdy w pralni było dużo roboty.

Ludwika, gdy weszła na ostatnie piętro, stwierdziła, że te oczy są znowu na swym posterunku i z pewnym strachem pomyślała po niewiadomo już który raz, co to może znaczyć. Nie przypuszczała, że to ją właśnie śledzono.

Młoda panna zwróciła się na prawo, by wejść do swego pokoju, gdy nagle zatrzymała się i zbladła jak trup. Na kilka kroków przed nią rysowała się w cieniu wysoka i szczupła postać Piotra Cartelegue'a. Od kilku już chwil czekał tutaj na nią młody człowiek z sercem bijącem jak młotem. Ludwika na widok jego uczuła, że słabnie. Miała jednak tyle jeszcze siły, iż pozostała wyprostowana, lecz nieruchoma i niezdolna do wymówienia choćby jednego słowa. Piotr złożył ręce i hamował się, by nie upaść przed nią na kolana. Wzruszony był ubóstwem Ludwiki w ubraniu robotniczem i chudością jej bladej twarzy, na której szare jej oczy wydawały się jeszcze większemi.

— Ludwiko... — szepnął stłumionym głosem.

Przerwał na tem, nie mogąc nic więcej powiedzieć. Ogarnęło go niewypowiedziane uczucie miłości i litości na widok tej, którą uważał za najczystszą i najukochańszą, a zarazem i za niecną. Coś go pchało, by upaść jej do nóg i łkanie zrywało mu się w piersiach. Lecz wyprostował się... Przypomniał sobie listy, podpisane nazwiskiem Karola Turnera, które wyrwał z rąk pana Radoux.. Zdawało mu się, że słyszy jeszcze słowa Australczyka: „Jakiem prawem wymienia pan tutaj nazwisko tej osoby? Zabraniam panu tego!"

Tymczasem młoda panna opanowała się zwolna. Postawiła na podłodze talerzyk, by nie wydawać się śmieszną i czekała, by Piotr zaczął mówić. Widząc jednak, że milczy, zaczęła:

— Czego pan, sobie ode mnie życzy? — rzekła, starając się pohamować drżenie głosu.

Młody człowiek westchnął nerwowo i szepnął:

— A więc, Ludwiko, to co mi powiedziano, jest prawdą?... Pracujesz w pralni?... Mieszkasz tutaj?...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Tajemnicze oczy.

(Powieść na tle notatek amerykańskich dedektywów).

12 (Dokończenie).

W dwa dni po tem znowu tak się wydarzyło, że w mej obecności przyniesiono jej pakiet, z którego wyjęła ciemny płaszcz z bardzo skromnego materyału. Na co jej taki płaszcz był potrzebny, tego mi nie mówiła, ale wnet sama dowiedziałam się o tem. Wiadomo, że Laura nie była na weselu Arteveldta, wymówiwszy się chorobą. Co się stało owej nieszczęsnej weselnej nocy, tego nie potrzebuję powtarzać, panowie wiecie to lepiej odemnie.

Natychmiast powzięłam podejrzenie, że Laura zabiła Arteveldta. Poszłam do niej, aby jej opowiedzieć o tem, co się stało i ku największemu zdumieniu spostrzegłam, że wiadomość o śmierci Arteveldta wprawiła ją w rozpacz prawdziwą. Nie mogłam tego zrozumieć. Gdyśmy się w ośm dni potem w wynajętej wilii urządzali, rozpatrywałam się bardzo dokładnie po całem mieszkaniu, by uzupełnić uporządkowanie i weszłam na ów szklany ganek, który łączy obie wille.

Zdziwiło mnie bardzo, skąd na podłodze były ślady stearyny, pozostałe z kapiącej świecy, a jeszcze bardziej zastanowił mnie oddarty kawałek czarnej materji, tkwiący na gwoździu sterczącym w progu, a jeszcze dziwniejsze, że drzwi z ganku do mieszkania Arteveldta wiodące, nie były na klucz zamknięte. Przypatrzywszy się dokładnie oddartemu kawałkowi tkaniny, poznałam, że pochodzi z owego płaszcza, który Laurze w mej obecności przyniesiono.

* * *

Wszyscy czterej udali się z więzienia do kancelarji dra Hale.

— Nadmienił mi pan, panie Stuart — rzekł dr. Halle, że Laura Durand popełniła w Anglji jakąś zbrodnię i że może być władzom angielskim oddana. Czy mogę pana zapytać, jaka to zbrodnia?

Od trzech lat szuka mój przyjaciel Jocellyn Elizy Schwarz, która w Londynie zamordowała swojego męża i siostrę. Tą Elizą Schwarz jest panna Durand.

Wydaje się to wprost bajeczne — nadmienił dr. Hale. — Jaka kara czeka ją za to w Anglji?

— Kara śmierci — rzekł Ferrars.

— A więc imieniem nieszczęśliwej matki zamordowanego wyrzekam się sądowego ścigania morderczyni Arteveldta.

— A więc sprawa załatwiona — rzekł Stuart. — Teraz nie traćmy czasu.

* * *

Laura zamyśliła się bardzo. Wspaniały budułar wydał jej się teraz nie tak pięknym, jak zawsze; nawet z siebie samej nie była zadowolona, ona, która z takiem upodobaniem zwykła się podziwiać w zwierciadłach. Rozdrażnienie coraz silniej wdzierało jej się w nerwy i wstrząsało nimi.

Była tak bliską celu; uśmiechały się do niej miljony, a tu nagle zjawia się jakiś kuzynek, na którego ma spaść całe dziedzictwo Durandów, a ona miałaby poprzestać na jakimś tam małym kapitaliku? Nie, to niemożliwe. Wszakże tego kuzynka można by usunąć. Któżby się tego domyślił?...

Przecież by jej o to nie posądzono. Udało się z mężem i jego siostrą, udało się zataić i to, co się stało niechcący z Arteveldtem, czemużby i z tem się nie powiodło? Kuzyneczek nie zamyka się, n gdy w swoim pokoju, więc mógł się wśliznąć zbrodniarz i bez przeszkody wejść do otwartego pokoju. Gdyby tak przyłożyć chustkę z chloroformem do twarzy?...

Zapukano do drzwi; prawie równocześnie je otwarto. Na progu ukazał się Durand, a za nim dr. Hale, Stuart, Jocellyn i Ferrars.

Na ich widok Laura zerwała się przerażona, a w tej chwili przystąpił do niej Jocellyn i położywszy jej rękę na ramieniu, rzekł poważnie, doniośle:

— Elizo Schwarz jesteś moim więźniem w imieniu prawa.

Trupia bladość okryła twarz Laury, zadrżała, oczyma błędnie spojrzała dokoła.

Na chwilę zatrzymał się jej wzrok na Durandzie, jakby w nim szukała ocalenia. Ale on spojrzał na nią surowo i rzekł z lodowatym spokojem.

Nie spodziewaj się odemnie niczego. Chciałaś otruć tę zacną kobietę, która cię za córkę przyjęła. Niechaj ci prawo wymierzy sprawiedliwość!

Laura załamała ręce, opuściła głowę i stała milcząca, bezradna.

Jocellyn przerwał milczenie.

— Elizo Schwartz! Zamordowałaś swojego męża i jego siostrę i za to będziesz sądzona w Anglji. Obciążają cię inne zbrodnie. Okradłaś pana Duranda, który cię adoptował, a uczyniłaś to dla tego, aby przekupić Nelly Brown; usiłowałaś pozbawić życia żonę pana Duranda, a wreszcie zamordowałaś Franka Arteveldta.

— Boże! Boże! Ja zamordowałam Arteveldta? zawołała Laura z przerażeniem i boleścią straszną.

— Temu zaprzeczyć nie zdołasz. Dowodzą twej zbrodni listy i owe przedmioty, które ukrywałaś pani w torebce podróżnej, a potem chciałaś je z torebką wrzucić do wody. Rzuciłaś torebkę, ale bez kosztowności, skradzionych w Londynie, bez płaszcza, w którym mordu się dopuściłaś, bez sztyletu i bez kluczy, bo to wszystko wyjął z torby pan Stuart, a pani tego nie przeczuwałaś.

— Tych zbrodni wyprzeć się pani nie zdołasz — rzekł Stuart — ale wyznaj wszystko szczerze, abyśmy mogli jakie takie znaleść okoliczności łagodzące.

Laura spojrzała na Stuarta dziwnym wzrokiem. Zdawało się, że patrzy na niego z kipiącą nienawiścią a zarazem z podziwem.

Gdyby tak można było zajrzeć na dno jej duszy, z pewnością byłoby się znalazło tam ubolewanie, że kuzynkowi nie przyłożyła wcześniej do ust chustki z chloroformem. Teraz dopiero zrozumiała, kto był owym kuzynkiem. Wyprostowała się, zebrawszy wrodzoną sobie energją, podniosła głowę do góry i spokojnie mówić zaczęła:

— Jestem zgubiona. Czyńcie ze mną, co się wam podoba. Jestem Eliza Schwartz. A teraz dowiedzcie się, czem byłam przedtem.

Gdy byłam niemowlęciem, porwali mię cyganie. Nie znając rodziców, ani nazwiska, wyrosłam wśród cygańskiej bandy i z nią wiodłam życie koczownicze. Czułam się bardzo nieszczęśliwą; zazdrościłam ludziom spokojnego życia i stałego mieszkania; pragnęłam wyrwać się od tych ludzi, do których nietylko przywiązać się, ale nawet przylgnąć nie mogłam.

Zdarzyło się pewnego razu, żeśmy rozbili namioty w pobliżu wspaniałego pałacu na Węgrzech. Liczne towarzystwo wyszło z pałacu ku naszemu obozowi, aby zabawić się cygańskiem wróżbiarstwem.

W gronie owych osób była bogata pani z Francji, która przybyła w odwiedziny do krewnych na Węgry. Zobaczywszy mnie, z dziwnem zainteresowaniem wpatrywała się we mnie, a potem kupiła, zapłaciwszy dość znaczną sumę cyganom. Pojechałam z nią do Paryża. Pani moja kazała mię kształcić, zajmowała się mną po macierzyńsku. Zaczęłam nabierać szlachetniejszych popędów ku dobremu, z chciwością czytywałam książki, zajmowałam się muzyką; budzić się zaczęło we mnie pragnienie uczuć religijnych, wstępowałam na drogę, po której się zdąża do stanowiska uczciwej kobiety. Na nieszczęście trwało to tylko przez trzy lata.

— Ta zacna osoba, która mnie po macierzyńsku kochała i do której uczuwałam jakieś dziwne dziecięce przywiązanie, umarła nagle.

Majątek zabrała jej rodzina, a mnie ofiarowano kilkaset franków i oddalono. Młoda, niedoświadczona, znalazłam się bez przyjaciół, bez opieki na paryskim bruku, nie wiedząc, co począć.

Padłam wnet jak wiele innych, ofiarą wyuzdania wielkiego miasta. Zwabiono mnie podstępnie do domu rozpusty. Zrazu czułam nieszczęśliwą, chciałam się życia pozbawić, ale wnet porwana wirem namiętności, zatraciłam wszystko, co pod opieką zacnej opiekunki kiełkować we mnie zaczęło i stałam się rozkosznicą z upodobania. Owładnęło mną pragnienie zbytku. Pożerała mnie żądza złota, strojów i życia wystawnego. Powodziło mi się bardzo dobrze. Zostałam zupełnie samodzielną, urządziłam sobie wykwintne mieszkanie i w niem zbierałam złoto i hołdy milionerów. Tu poznał mnie stary bankier z Londynu, Schwartz.

Zakochał się we mnie, szalał zs mną i zapragnął się ożenić. Spodziewam się, że, zostawszy żoną milionera będę mogła w pełni używać przyjemności życia, więc zgodziłam się na małżeństwo i zostałam Elizą Schwartz. Siostra mojego męża nienawidziła mnie, podejrzywała, a mąż okazał się takim skąpcem, że mi odmawiał upragnionych strojów, żałował nawet takich przyjemności jak teatra, koncerty. Prześladował mnie szkaradną zazdrością; pozostawałam wciąż pod strażą jego siostry. On chciał, abym była taką kobietą, jakiemi bywają zwykle żony poważnych ludzi, oddaną tylko domowi i mężowi. Dla mnie było to niewolą, więzieniem. Przez dwa lata cierpiałam, zmuszając się do wytrwania, aż wreszcie zabrakło mi cierpliwości i postanowiłam uciec. Ale uciec z gołemi rękami i skazać się na nędzę i na niepewność życia nie mogłam.

Pewnej nocy wyjęłam mężowi z pod poduszki klucze od kasy; już miałam się z niemi oddalić, gdy nagle budzi się i schwyta mnie silnie za rękę. Widząc, że mogę być zgubioną, chwyciłam drugą ręką za sztylet i wbiłem mu w skroń tak, że padł martwy bez jęku. Wychodzę z sypialnego pokoju i zdążam ku pracowni męża, gdzie była kasa. Otwieram, sięgam ręką do wnętrza, a w tej chwili staje przedemną siostra mojego męża, ze świecą w ręce i mierzy mnie nienawistnem, pogardliwem spojrzeniem. W sekundzie padła trupem, uderzona w skroń, zabarwionym krwią brata sztyletem.

Zabiłam ich dwoje, okradłam i uciekłam do Paryża. Czarne włosy zabarwiłam sztucznie na jasne, wiodłam życie skromne w ukryciu, marząc o tem, aby pokochać i przez miłość stać się uczciwą kobietą. Poznałam w Paryżu Arteveldta; ukochałam go całą potęgą pierwszej, nieznanej dotąd miłości. Zdawało mi się, że i on pokochał mnie również gorąco. Wiedząc, że bogaty, że należał do najpierwszych sfer towarzyskich, lękałam się bardzo, czy zechce się ożenić ze mną. Z tego niepokoju, z tych obaw uwolnił mnie szczęśliwy przypadek. W Paryżu bawili państwo Durandowie, przybywszy tu z Ameryki, aby podróżą ukoić ciężki żal po stracie jedynej córki. Zdarzyło się, że siedziałam obok nich na koncercie. Uważałam, że pani Durand z jakiemś zdziwieniem i rozczuleniem na mnie spoglądała, dosłyszałam nawet, jak szepnęła mężowi:

„Jakżeż podobna do naszej Laury". W kilka dni potem weszłam do jednego magazynów, po jakiś sprawunek i zobaczyłam w nim panią Durand. Ona mnie także spostrzegła i spojrzała z taką tkliwością, że odrazu wpadło mi na myśl, aby zawiązać rozmowę. Sposobność zaraz się nastręczyła, bo pani Durand mówiła słabo po francusku, a w magazynie nie było o tej chwili tych osób z personalu, któreby po angielsku rozmówić się mogły. Zbliżyłam się do pani Durand uprzejmie i prosiłam o pozwolenie służenia jej za tłumacza. Zgodziła się na to nawet z radością, widocznie zadowolona, że ze mną rozmawiać może. Po załatwieniu sprawunków pani Durand prosiła mnie, abym jej wskazała jeszcze kilka innych magazynów, w których coś kupić zamierzała, a wreszcie abym ją odprowadziła do domu. Tym sposobem zawarłam znajomość z tymi ludźmi, opowiadałam im bardzo kwieciście o różnych zmyślonych tragedjach mego sierocego żywota, ujęłam ich sobie tak dalece, że mnie adoptowali. Niedługo potem wyjechaliśmy do New Yorku, a tym samym statkiem popłynął też Arteveldt. Durandowie znali go bardzo dobrze, więc w ciągu całej podróży był naszym nieodstępnym towarzyszem. Teraz już nie wątpiłam, że się ze mną ożeni, skoro zostałam dziedziczką milionerów.

Dowiedziawszy się, że Arteveld ma się żenić z Leonorą Armyn, usiłowałam go od tego powstrzymać wszelkiemi sposobami; udałam się też do jego narzeczonej, a ta mi oświadczyła, że ją tylko śmierć od narzeczonego rozdzieli. Postanowiłam zemścić się skrycie. Nie będąc na weselu, nie wiedziałam, co się tam stało. Gdy światła już pogasły i cisza w wili nastała, weszłam przez sąsiednią, pustą wilę, do której miałam dorobione klucze, otulona ciemnym płaszczem i dostałam się oszklonym gankiem do mieszkania Arteveldta, Nadsłuchuję: cisza zupełna, a więc śpią. Zgasiłam świecę i po ciemku wchodzę do sypialni. Przy łóżku dostrzegłam na szafeczce biały wieniec.

A więc to ona na tem łóżku. Nachylam się, ale twarzy dojrzeć nie mogę; wysuwam palce, dotknęły skroni, uniesiona żądzą zemsty, tracę prawie przytomność i wbijam sztylet w tę skroń, przekonana, że od mego ciosu zginie Leonora. „Tylko śmierć od niego mnie rozdzieli" mówiła wtedy do mnie i śmierć ją też rozdzieliła, a Frank będzie moim. Z tem uczuciem wróciłam do domu. Gdy mi nazajutrz opowiedziano o wszystkim, ogarnęła mnie rozpacz, bo ja mojego Franka zabić nie chciałam, bo ja jego kochałam, bo ja bym mu własne życie oddała w ofierze. Wtedy chciałam się wyrwać z tego miasta, z tych stosunków, ogarnął mnie jakiś szał zniszczenia, jakaś żądza zabijania i oto wyjaśnienie owej trucizny, zadawanej tej zacnej kobiecie, która mnie za córkę przyjęła.

XXVIII.

ZAKOŃCZENIE.

Wieczorem tego samego dnia zdążał Stuart do Duranda i kiedy już skręcał w pustą zwykle ulicę, przy której była willa Durandów, wyskoczył nagle ku niemu jakiś silny człowiek i rzucił się na niego ze sztyletem. Równocześnie ktoś inny chwycił napastnika za rękę, aby mu sztylet wydrzeć, lecz w szamotaniu się z nim, sam otrzymał pchnięcie sztyletem i runął skrwawiony na ziemię. Tymczasem Stuart dobywszy rewolweru, położył trupem napastnika. Schyliwszy się poznał Bradmardina. Nie troszcząc się o zabitego napastnika, zwrócił się ku rannemu i z przerażeniu zobaczył, że to był Ferrars. Szybko wezwał pomocy. Ktoś z przechodniów pospieszył po lekarza, ciężko rannego Ferrarsa przeniesiono do domu Durandów. Zwłoki Bradmardina zabrała straż policyjna.

Ferrarsa otoczono najtroskliwszą opieką; wezwano najznakomitszych lekarzy, przy łożu chorego czuwała Leonora na przemianę z Kate Scaton, a Stuart prawie na chwilę go nie opuszczał. Przez dwa tygodnie walczył ranny ze śmiercią, aż wreszcie silna, zdrowa natura i gorliwa pomoc lekarzy odniosły zwycięstwo.

Pewnego dnia, gdy już rannemu wolno było mówić, Stuart przysunął się do jego łóżka i spytał ze łzami w oczach:

– Czem ja zasłużyłem sobie, żeś chciał swe życie poświęcić dla mnie?

– To było moim obowiązkiem – odpowiedział Ferrars.

– Obowiązki przyjaźni nie sięgają aż tak daleko, by z życia swego uczynić dla przyjaciela ofiarę.

– Szczęśliwy jestem, że mówić mogę, że mówić mi wolno. Chciałem ci to wcześniej powiedzieć, ale nie było sposobności, albo raczej nie miałem może odwagi. Teraz ci powiem, ale niech to zostanie tajemnicą między nami, a zwłaszcza niech o tem nie dowie się Leonora. Baronet Sir Hirary, dziadek Leonory, miał młodszego brata, a ten był moim ojcem, lecz matką moją była prosta wieśniaczka i noszę nazwisko matki a nie ojca. Ojciec Leonory, acz znacznie starszy, wypadał mi bratem stryjecznym. Wiedział o mojem pochodzeniu i chociaż nie miałem nazwiska, nie gardził mną a gdym osierociał, opiekował się mną po ojcowsku i prawie jak ojciec, lub jak brat starszy ze mną się obchodził i jemu też zawdzięczam i wykształcenie i wszystko, czem jestem. Nie dziw się, że moim obowiązkiem spłacić Leonorze dług wdzięczności, u jej ojca zaciągnięty Rozumiesz to dobrze, że istota tak szlachetna jak Leonora, ma szczerą głęboką wdzięczność dla ciebie, że też dlatego czuła by się nieszczęśliwą, gdyby ciebie coś złego spotkało. Widząc, że dość nieostrożnie ch dzisz sam po mieście, lekceważąc sobie zemstę Bradmardina, czuwałem wciąż nad tobą i nad Bradmardinem. Właśnie owego wieczoru śledziłem Bradmardina i szedłem za nim bezustannie, a gdy skręcił w uliczkę ku willi Durandów, przeczułem, że tu będzie czyhał na ciebie. I tak się też stało. Bogu dzięki, że nikczemnik zginął, a ty uszedłeś jego ciosu. Ponownie cię proszę, aby Leonora o niczem nie wiedziała. Baronet, jej dziadek, jest niesłychanie dumny i brałby jej za złe, gdyby chciała uznać mnie za krewnego, jak to czynił jej ojciec. Niech ta biedna sierota, która już tyle przecierpiała, nie doznaje już żadnych przykrości.

– Gdyby mój dziadek kazał mi się wyrzec uczciwego człowieka, jabym się wyrzekła jego i jego majątku – odezwała się spokojnie Leonora, zbliżając się w tej chwili do łóżka Ferrasa. – Wybaczcie panowie, że byłam świadkiem waszej rozmowy. Zapewne nie chcecie mnie posądzać o płytką ciekawość, lub o brak poszanowania cudzej tajemnicy. Gdy stanęłam niepostrzeżenie na progu, usłyszałam, że była mowa o moim ojcu. Uwierzycie zapewne, że byłam w onej chwili dumną z tego, iż jestem córką tak zacnego człowieka. Za młody jesteś, panie Ferrars, żebym cię mogła uważać za stryja, ale musisz zezwolić na to, abym cię uważała za brata.

Uścisnęła mu rękę serdecznie.

* * *

Jocellyn odwiózł Elizę Schartz do Anglji i oddał ją sądom tamtejszym. Pospieszył co tchu do Ameryki, bo miał do tego powód nieładajaki. Dawno już zakochał się w Kate Scaton, a i ona mu sprzyjała. Wracał teraz pospiesznie, bo czas było przygotować wesele.

Durand zaprosił raz Stuarta do siebie i uścisnąwszy go serdecznie, rzekł tkliwie i poważnie:

– Zawdzięczam ci, kochany panie, ocalenie życia mej żony; zawdzięczam ci ocalenie honoru mojego nazwiska przez wykrycie tej nikczemnicy; jesteś człowiekiem na wskróś uczciwym; byłeś przez kilka tygodni moim udanym bratankiem, bądźże teraz dziedzicem mojego nazwiska i mojego mienia, pozwól, bym cię przybrał za syna.

* * *

Baronet Hilary, ucieszony wiadomością o wykryciu wnuczki, przybył po nią sam do Ameryki. Przy pierwszem zaraz spotkaniu z nią, przekonał się, że jest nieodrodną córką swych przodków.

To samo poczucie godności, ta sama stanowczość, ta sama energja, a nawet rysami twarzy przypominała bardzo właśnie tego dziadka, który po nią przybył. Wkrótce zawiązał się między nimi stosunek najserdeczniejszy i dumny baronet tak jakoś zaczął ulegać odnalezionej wnuczce, że nie sprzeciwiał się wcale, gdy ona, teraz lady Hilary, pana Stuarta-Duranda, jako swego narzeczonego mu przedstawiła.

Ferrarsem zaopiekował się także po ojcowsku i tak skończyła się „walka o miljon".

KONIEC.

Ultimo — Medio.

Ciężko, pracowicie, ale pewnie, szedł dolar pod górę. Na wyszklonych szynach nie było najmniejszej skazy, która by zatamowała mocarny pęd.

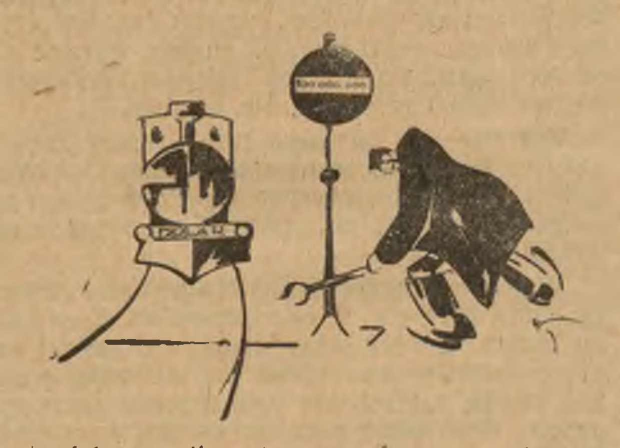
Po bokach i z tyłu, tłum czarny o rozjaśnionych twarzach, pchał złotodajne cielsko. Przydrożne, niebotyczne świerki, czekające na export do Anglii, sosny mchem obrosłe, niezwaloryzowane i dziewicze jeszcze, kiwały wierzchołkami żałośnie.

— Panie Vorschieber pchnij mu pan kapeńkę, niech jedzie to nasze ukochanie! Pchnie pan? — Pan sze pita? A z tyłu o stajań parę gnała szajka arjengardy, zdyszana. Wiatr donosił refrain ich piosenki. Poprzez pustynną okolicę szły słowa gromkie, wartkie. Ultimo... Ultimo...

* * *

Wiatr gwiżdże w dwanaście chuderlawych drzewek, a napotkawszy na swej drodze wykończony już gmach P. K. O., skręca w bok i podwija w górę czarne chałaty. Czereda poważna, roztańczona, wykonuje dziwne jakieś ruchy.

Co chwila wymknie się z tłumu mąż z obliczem patryarchy i, schowawszy skrzętnie pod ka-



potę dolary, mija z trwogą w sercu zanglezowanego policjanta.

* * *

Najmilszą przystanią dla zbolałej duszy jest Grand. Pan Pipperment i pan Klosenduft pijąc wodę sodową, nabierają sił do dalszej walki. Po sali błąka się paru aniołków roznoszących „Wieczorny"

Zadufany w sobie, miły gwar szemrze, jak woda w kanale. W tem... o dziwo! Najsławniejszy rycerz przemysłu, w szermierce walutowej mistrz biegły, wpada zdyszany z włosem w nieładzie. Krach! Coś zepsuło się w państwie bożka dolarka.

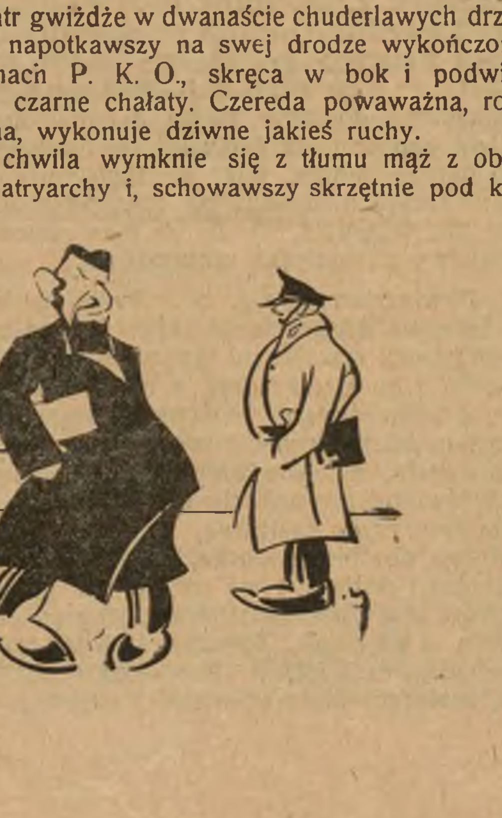
* * *

Pracowicie pchany w górę, hen! aż pod obłoki, zatrzymał się nagle i powiedział — Nie pójdę.

A potem, znarowiony, jął wierzgać, aż odpadły wierne rzesze. I wtedy zrazu pomału, a potem coraz prędzej zaczął staczać się w dół, tratując nierozważnych ultimowców. Po żyznych polskich łanach szedł wielki jęk. Czereda rozbiegła się na wsze strony, drąc włosy, łamiąc ręce, a po śliskich, wyszklonych szynach pędził dolar, sypiąc iskry, podobien do bestji apokaliptycznej.

* * *

Cicha tajemnicza noc! Pan Klozenduft stracił cały swój majątek na dolarach i stoi złamany pod latarnią. Widmo stabilizacji marki, gnębiąc go od paru dni, przybrało oto realniejszą postać. Z za węgła domu, wyskoczył, jak tygrys pan Pipperment i zbliża się zimny i nieubłagany, żądając wypłaty, należnej mu na ultimo! Niestety.









Grupa masek indyjsko-sewilsko-francuskich z nietoperzem pośrodku na karnawałowej Reducie Prasy

Reduta prasy.

Światła, gwar, lekki, powiewny szelest jedwabiu, woń perfum... astrolog szepce markizie do uszka zapewne czułe horoskopy. Zwarty, czarny, tajemniczy sznur fraków zgiął się w uprzejmem oczekiwaniu, bo oto, niby rój motyli skrzydlatych i barwnych, płynie nań fala rozchichotana, uludna, zwodna z frywolnym poszumem sukien, z błyskiem zagadkowych, rozbawionych oczek, skrząc ognikami klejnotów i kwiatów.

Rozbiegane stadko różnokolorowych nóżek podaje się naprzód, to cofa się, migają błyskotliwe klamerki, obcasiki lękliwie wystukują takt zwiewnej melodji.

— Ach! jaka siurpryza! Ponure „Ultimo" rozłożyło ręce.

— Takie czasy, markizo. Wszystkim daję się we znaki. Na panią też przyszła kolej.

Klown z bajaderą wymknęli się z roztańczonego tłumu i suną w kierunku bufetu. Z żalem dusi biedak wyładowaną kiesę.

Żeby wygrać „medio", należy wpierw spłacić zobowiązania „ultimowe". Więc pieni się szampan wstydliwie i rozmarzony kapie w płaskie czarki.

* * *



Pani Zofja Grabowska, art. dram. „Bagateli", która na Reducie Prasy otrzymała II. nagrodę piękności

Mimo ciężkich czasów, reduta prasy wypadła, jak zawsze, olśniewająco. W salach „Starego teatru" zgromadziła się doborowa publiczność, co zawdzięczać należy staraniom komitetu, który za wszelką cenę nie chciał, by tradycyjna zabawa stała się polem popisu dla „szerokiej natury" Nowobogackich. Tych ostatnich prawie nie było. Czasem tylko przesunęła się zawstydzona facjata powojennego „dyrektora", który w tem obcem dla siebie środowisku musiał się czuć bardzo nieswojo.

Prócz miłego grona młodzieży, zjawiły się w komplecie kółka inteligencji, a bukiet pięknych pań nadawał zabawie iście wersalski charakter.

Konkurs piękości przyznał pierwszą nagrodę dyrektorowej Szelińskiej, drugą — najwdzięczniejszej artystce „Bagateli", pani Zofji Grabowskiej.

Panie uznały za mężczyznę najgodniejszego „nagrody pań" gościa z Poznania przelotnie tylko bawiącego w Krakowie, znanego malarza poznańskiego p. Leona Dołżyckiego.

Nagrody za kostjumy najefektowniejsze dostała z pań — „prasa", a z panów kostjum „ultimo", który otrzymał kaduceus karnawałowy.

Dopiero o 8-ej rano staropolski biały mazur położył kres temu pięknemu szaleństwu. *B. W.*

Gołębie marjackie.

Niejeden turysta, zwiedzający nasze nie bardzo podłe miasto, gdy o stanie u stóp kościoła marjackiego, otwiera oczy szeroko i patrzy z podziwem na setki gołębi, oblepiających mury i bruki, ślicznych, różnokolorowych gołębi tak łaskawych, że z pod nóg przechodniów zbierają skąpe pożywienie.

Posępne gotyckie wieżyce kiwają dostojnymi dachami, jakby uśmiechały się do tego drobiazgu; a niech tylko promień słońca ozłoci witraże, malutki plac marjacki pyszni się, niby wenecki św. Marek.

Nie dziwota, że obraz ten niejednemu utkwił głęboko w pamięci, a ludzie, czujący choćby maleńki sentymencik do zabytków naszego grodu, z troską patrzą na dolę biednych ptaków, którym tak sroga w tym roku zima mocno dała się we znaki. Powojenny bowiem Kraków, zajęty wyłącznie codzienną kumą troską, zapomniał zupełnie o niesieniu pomocy wdzięcznym służkom Bożym. Znalazł się jednak zacny człowiek, który umieścił na murze domu narożnego przy pl. Marjackim uwidocznioną na fotografji tabliczkę, przypominającą o smutnym dziś losie wdzięcznych ptaków, tym wszystkim, którzy bawili się rzucając im żywność w lecie — gdy jej nie brak, ale zapominając o nich zimą — gdy biedne gołębie padają z głodu.

Pięknie uczynił p. Drozdowski, sekretarz wydziału prawa U. J., dbały o swoisty wdzięk naszego grodu, w ten sposób nawołując litościwych, by nie skąpili gołębiom ziarna.





Gołębie marjackie: 1) Tablica na domu p. Czynciela, wzywająca przechodniów i turystów, by nie zapominali o losie marjackiego ptactwa. — 2) Gołębie marjackie stadem całem kręcą się u stóp litościwej straganiarki, zbierając pożywienie.



Ameryka w komisji odszkodowań: Gen. Dawes, delegat rządu St. Zjednoczonych.

Ameryka w Komisji Odszkodowań.

Nie w samej coprawda Komisji Odszkodowań, tylko w powołanym przez nią specjalnym Komitecie rzeczoznawców, którzy mają badać zdolność płatniczą Niemiec — bierze obecnie udział Ameryka. Lecz na tle dotychchczasowego stanowiska Stanów Zjednoczonych, które usuwały się od wszelkiej współpracy z Komisją Odszkodawczą w Paryżu — fakt delegowania dwuch przedstawicieli do rozważania spraw związanych ściśle z odszkodowaniami niemieckiemi posiada doniosłe znaczenie. Jest to bowiem przełamanie częściowe choćby, lecz pierwsze od kilku lat zasady nie mieszania się do spraw europejskich, choćby te sprawy były likwidacją wojny, w której Ameryka tak potężny wzięła udział.

Komitet rzeczoznawców aljanckich w raz z owemi dwoma amerykanami, z których jeden gen. Dawes jest delegatem rządu Stanów Zjednoczonych, a drugi — bankier Schif, przedstawicielem świata finansowego Ameryki — bada obecnie zdolność płatniczą Niemiec i odbył już konferencję z dyrektorem banku Rzeszy p. Schachtem, oraz szereg konferencji przygotowawczych.

Specjalne zainteresowanie wywołało w prasie nimieckiej i francuskiej przemówienie generała Dawesa na posiedzeniu komitetu rzeczoznawców, powołanego przez Komisję odszkodowań. Silnie podkreślona łączność braterstwa broni ze Stanami Zjednoczonemi nadała mowie Dawesa specjalny charakter. Generał Dawes między innemi użył zwrotu, że w obecnym momencie nie chodzi o zdolność płatniczą Niemiec. Ze zwrotu tego prasa berlińska wyciągnęła wniosek, że generał Dawes nie zadowolni się dotychczasowym projektem załatwienia sprawy odszkodowań, lecz wysuwa nowy plan, któryby był wspólnie przedyskutowany z sekretarzem stanu Hughesem. Wogóle generał Dawes uchodzi za wyraziciela tej polityki, która pragnie wpływać na bieg wypadków w Europie bez ścisłego wiązania się z traktatami międzynarodowemi.

Powstanie nowych towarzystw narciarskich.

W Ostatnich czasach liczba Stowarzyszeń Narciarskich zgrupowanych w Polskim Związku Narciarskim, powiększyła się o trzy Towarzystwa.

Uchwałą Zarządu Głównego P. Z. N. przyjęte zostały do związku: Sekcja Narciarska Akademickiego Związku Sportowego w Warszawie, Koło Narciarzy przy Oddziale Babiogórskim Polskiego Towarzystwa oraz Oddział Narciarski Towarzystwa „Sokół“ w Zakopanem.

Ponadto jak nam komunikują, w Katowicach powstało Górnośląskie Towarzystwo Narciarzy, zaś przy Towarzystwie Sportowem „Lauda“ utworzona została Sekcja Narciarska; z obydwoma Polski Związek Narciarski nawiązał już kontakt.

Powstawanie nowych Towarzystw Narciarskich świadczy, że sport ten zyskuje u nas coraz więcaj zwolenników i coraz lepiej rozwija się.

Wymienione zgłoszone Towarzystwa grupują przeszło 400 członków, jest to liczba wcale pokaźna o ile się weźmie pod uwagę trudne warunki w jakich się sport ten u nas rozwija.



Nowy prezydent Federacji Szwajcarskiej p. Chouard.

Do P. T. Fotografów!

P. T. Fotografów, tak zawodowych jak amatorów, upraszamy uprzejmie o nadsyłanie nam robionych przez się zdjęć ciekawszych wypadków mogących zainteresować ogół Czytelników, celem reprodukowania ich w naszem Piśmie. Do każdego zdjęcia należy dołączyć notatkę, zawierającą treściwie zebrane szczegóły, ewentualnie przysłać numer któregoś z pism codziennych, gdzie znajdowała się już odpowiednia wzmianka.

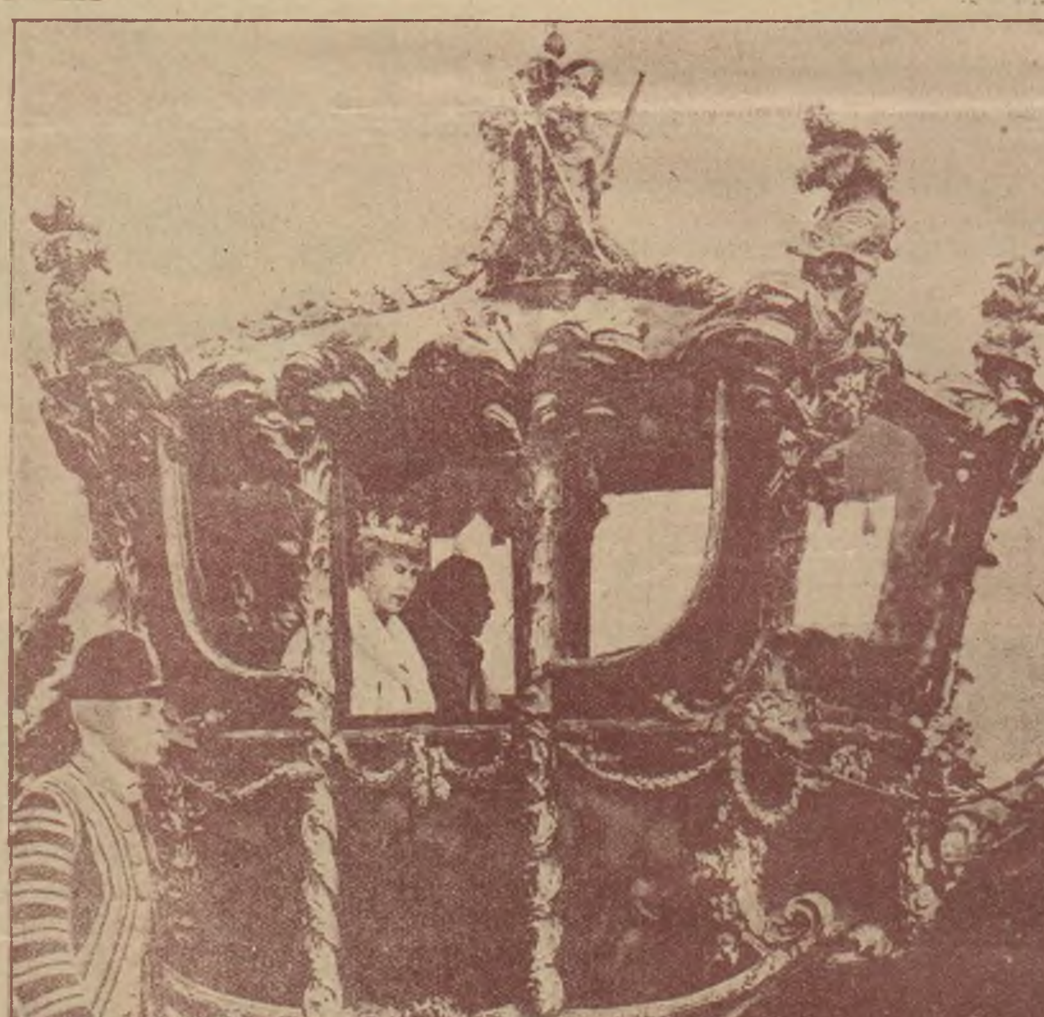
Nadają się do tego w szczególności obchody narodowe, towarzyskie, rocznice, zgony wybitnych osobistości i td., przedewszystkiem zaś zdjęcia, odnoszące się do senzacyjnych wypadków dnia, zaszłych w miejscu lub okolicy. Pospiech w nadsyłaniu fotografii (nie naklejanych na karton) jest wskazany.

Za nadesłane nam zdjęcia, o ile nadadzą się do umieszczenia w naszem Piśmie, wypłacać będziemy ustalone za wzajemnem porozumieniem honorarium, jakoteż na żądanie zamieszczać pod nią nazwisko lub firmę wykonawcy zdjęcia.

Przesyłki upraszamy adresować: *Redakcya Nowośc Illustrowanych“, Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkego l. 95.*



Ameryka w komisji odszkodowań: Bankier H. Schiff, przepstawiciel amer. świata finansowego.



Otwarcie parlamentu angielskiego:
Król i królowa angielscy udają się we wspaniałej karecie na otwarcie parlamentu.



P. Anna Sznage-Zielińska, której występy w teatrze lwowskim uwieńczone były niezwykłym sukcesem.

Z teatru lwowskiego.

W teatrze lwowskim występuje obecnie p. Anna Sznage-Zielińska, artystka znana u nas z licznych występów. Najkrytyczniej nawet usposobionych widzów podbija ona niezrównanym wdziękiem i naprawdę rasowym nerwem scenicznym.

Ostatnia jej kreacja, — rola tytułowa w „Ninie“ Kampfa, dała jej szerokie pole do uzewnętrznienia całego jej talentu.

W tej typowo kosmopolitycznej sztuce potrafi ona [zachować słodycz i trzpiotliwość poleczki, a wszystkie jej kreacje, tchną urokiem czysto indywidualnym, zostawiając żywe i miłe wspomnienie. *B. W.*

Podróżniczki.

Manja podróżowania, opanowująca coraz szersze koła niewieście, jest istną plagą dla amerykańskich bogaczy. Dobre bowiem skądinąd panienki i stateczne (o zgrozo!) matrony, ogarnięte tę trudną do uleczenia i niebezpieczną chorobę, niepomne błagań mężów, jadę w szeroki świat, często o własnych siłach, koniecznie chcąc wejść w ślady powieściowych globtreterów. Piękne turystki, uwidocznione na fotografii, to pani M. J. Morden z Chicago oraz I. B. Mac Cauley, z Evoston. Przebyły one Himalaje i dotarły aż do zachodniej rubieży Tybetu, objęte żądzą poznania tamtejszych obyczajów.

Wyprawy takie podjęte przez uczonych badaczy mają poważne znaczenie i wzbogacają istotnie wiedzę. Ale jeśli celem ich jest tylko ciekawość — jeśli mają charakter sportowy — to jedynym ich wynikiem — mogą być kłopoty dla mężów nadobnych podróżniczek.

Wśród górali, mieszkańców tej niebotycznej krainy panuje bowiem ciekawy zwyczaj wielomęstwa. Jest zatem rzeczą bardzo prawdopodobną, że ładna „lady“ po powrocie powie swemu żywicielowi:

— My dear, znajdź mi jeszcze paru takich, jak ty.

A skutki?

Skutki również łatwe do przewidzenia. Mąż, mając dość dolarów w kieszeni wybierze się naprzykład do Turcji, by zaznać spokoju i słodyczy poligamii. *(B. W.)*

OD REDAKCJI.

W numerze niniejszym dajemy dokończenie jednej z dwóch powieści sensacyjnych. W ciągu miesiąca mniej więcej zakończymy również i drugą.

W związku z tym reorganizację pisma naszego rozszerzymy obecnie i na naszą wkładkę powieściową. Zamierzamy wypełnić ją treścią, która każdego czytelnika będzie musiała zająć. A więc będziemy dawać równocześnie powieść dłuższą na kilkanaście tygodni i niewielkie interesujące nowele zamykające się w dwóch do trzech, a może nawet w jednym numerze, o charakterze ciekawym, barwnym, fantastycznym i sensacyjnym, lecz złączonym zawsze z wysokim poziomem artystycznym. Pozatem wprowadzimy w najbliższym czasie fejletony literackie, artystyczne i — wesołe. W tece naszej posiadamy już oryginalną i fantastyczną powieść pióra p. Bohdana Warchałowskiego p. t. „Niesamowity wynalazek“, przekład nieznanej powieści Conan Doyle'a p. t. „Raffles Haw“ historja o człowieku, który fabrykował złoto — oraz szereg nowel i opowiadań oryginalnych i tłumaczonych.

W najbliższym zaś czasie bo już w drugiej połowie lutego rozpoczniemy druk niezwykle pięknej przepojonej szlachetnym sentymentem i porywającej niezwykłością fabuły — powieści znanego poety i literata **p. Tadeusza Michała Nittmana.**

Powieść ta nosić będzie tytuł:

„Jej chłopiec“

Opowieść z pustyni arabskiej.



Kobiety — podróżniczki: Pani W. J. Morden (1) z Chicago i pani I. B. Mac Cauley (2) z Evanstonu, które poprzez Himalaja dotarły aż do Tybetu w gościnie u bonzów w klasztorze buddyjskim.

Dział Grafologiczny

pod kierunkiem Inst. pismoznawstwa i psychologji stosowanej prof. **Henryka Gralskiego**, Kraków, ul. Batorego 25.

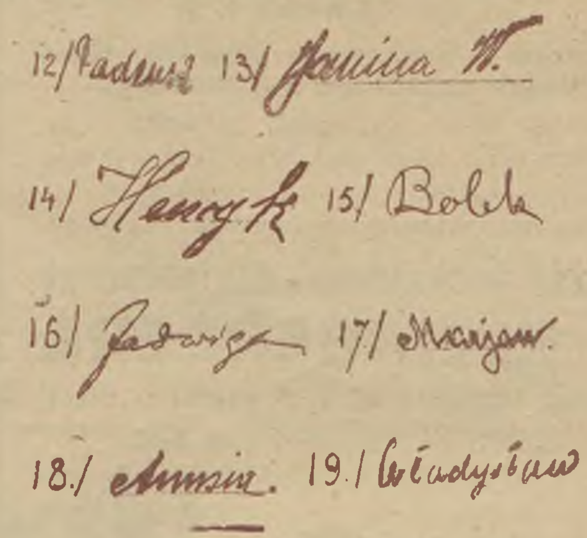
Pokaż jak piszesz — powiem Ci jak się spisujesz,

I. Bon grafologiczny.

Imię: ....

Dla otrzymania oceny grafologicznej swego charakteru należy na bonie wypisać swe imię. — Nie więcej tylko swe własne imię. Następnie należy bon wyciąć i załączywszy dwa znaczki pocztowe na list, — przesłać do redakcyi. Odpowiedź zamieszczona będzie w „Nowościach“.

„Nowości ill.“ z dnia 9 lutego 1924 roku.



12) **Tadeusz** jest naturą twórczą, fantastyczną i chwiejnej woli, znacznie naiwną (zwiększanie się liter ku końcowi słowa!), formalnie niewyrobioną a przedewszystkiem jest to człowiek przesadny (dynamika nacisku ostatniej litery „z“!).

13) **Janina N.** jest typem niewiasty dobrze wychowanej, o szerokim polocie myśli i serca, ale charakter zawzięty, nawet chciwy i uparty (ciasne i słabo zaokrąglone pismo!). Jest to człowiek dążący wprzód za wszelką cenę.

14) **Henryk.** Jest to pismo człowieka więcej życiowo niż teoretycznie wyrobionego ale o rzadkiej energji i wytrwałości. Jest to umysł o rażących skokach logicznych (przerwy pomiędzy literami!) i charakter szorstki (kanciastość!) ale wartościowy.

15) **Bolek** przedstawia następujące cechy umysłu, uczucia i woli: twórczość, fantazja, serdeczność ale też bezpretensjonalność, brak ambicji, namiętność i brak zaokrąglonego poglądu na świat. W każdym razie jest to natura nawskróś artystyczna (zapętlicowanie litery B). O ile tu chodzi o sprawę matrymonjalną, to trzeba to pismo porownać z pismem osoby zainteresowanej, albowiem w tej sprawie idzie jedynie o uzupełnienie się charakterów. Oceny tego rodzaju przeprowadza „Instytut pismoznawczy“.

16) **Jadwiga** uwydatnia przedewszystkiem znaczne zdolności pedagogiczne. Jest to umysł ścisły, serce doświadczone, zbolałe ale zrównoważone. Tylko nerwy nie dopisują (przesadna pochyłość ułożenia liter na prawo!).

17) **Marjan** jest przeciętnym typem trzeźwego, realistycznego i celowego charakteru. Istnieje pewna skłonność do nieszczerości (odwrotne pochylenie się liter), istnieje jednak dużo wyrobienia formalnego i estetycznego (vide litera „M“).

18) **Anusia** należy do natur niezrównoważonych z zewnętrznych i wewnętrznych przyczyn. Umysł mało szkolony, uczuciowość namiętna, wrażliwa i tkliwa, a wola wykazuje zupełny brak orjentacji światopoglądowej (n i u bez różniczkowania). Zwracam uwagę na t. zw. odwrotną grafologję, która rozpoczyna naprawę charakteru od naprawy pisma.

* * *

Bony, nie zaopatrzone w podwójny znaczek listowy, nie zostaną uwzględnione!

Czytelników, pragnących otrzymać odpowiedzi grafologiczne prosimy o podpisywanie swych imion na bonach atramentem **czarnym** — nie niebieskim ani fioletowym ze względu na trudności przy reprodukcji.

MASZYNY
do pisania i do rachowania

przyjmuje do gruntownej naprawy i czyszczenia, pierwszy w Małopolsce zakład mechaniczny

WŁODZ. KEYHA, mechanik

Kraków, ul. Florjańska L. 3.

NICI
BAWEŁNY
KORDONKI
D. M. C.

Nadeszły WEŁNY na Jumpry
fabryk angielskich i francuskich
Poleca:
Polska Centrala Handl. Nićmi **S. WEGENKO i Ska**
Współwłaściciele Grochowskiej Fabryki Nici
Warszawa, Krucza 24. Tel. 137-17 i 266-14.
Żądać wyczerpujących ofert i cenników.

LACET'Y
ZEPHYRY
JEDWABIE
L. V.

Materyały wełniane!

na suknie i kostyumy damskie

na ubrania męskie

płaszcze i raglany.
Markizety, batysty, woale, perkale, zefiry i szyfony

wszystko w wielkim wyborze i po cenach konkurencyjnych

poleca

KAROL JAROSZ

Kraków, Floryańska 35 (róg ul. św. Marka).

Stanisław Hachaj

ul. św. Tomasza l. 9.

Magazyn i pracownia obuwia damskiego, meskiego i dziecęcego.

Najnowsze fasony angielskie, francuskie, warszawskie, stale na składzie w wielkim wyborze.

Zakład techniczno-dentystyczny

N. KLEINBERGERA

Kraków, Szewska 27 I. p. (narożnik Plant)
otwarty od godz. 9—1 i od 3—6.

Najtańsze źródło zakupu

Prawdziwych Dywanów Perskich

Bardzo rzetelna obsługa.
Oglądanie nie obowiązuje do kupna — tylko u
I. Lewkowicza, Kraków, ulica Grodzka L. 39.

Fortepiany i Pianina

Bechstein
Blüthner
Bösendorfer

do nabycia tylko u firmy:

Helena Smolarska

Kraków, ulica Szewska L. 9 I. p.

Zbrodnią!
Podłością!
Nikczemnością!

byłoby wpisywanie się do zagranicznych towarzystw korespondencyjnych, gdy jedynem polskiem towarzystwem międzynarodowej wymiany jest

„Orient-Okcidental"

Adres: **Kraków, ul. Reforyka L. 1, II. p.**
Wkładka roczna 5 fr. walor. po kursie dziennym.

REFORMA PRAWA MAŁŻEŃSKIEGO

przez Dra Z. Mandla adwokata w Krakowie omawia problem rozwodu, seperacji, ślubów cywilnych i t. d. z uwzględnieniem ustawodawstwa trójdzielnic.

DO NABYCIA W KSIĘGARNIACH.



Skład Fortepianów
Zygmunt Raba
nast.
Kraków, św. Anny 3.
Telefon Nr. 465.
poleca
instrumenta firm światowych
jak Steinway Sons
Stingl Original
Lauberger & Gloss
Ant. Petrof
z 10-letnią gwarancją
wykończone instrumenta używane
zawsze na składzie.

FACHOWA OBSŁUGA. 10-LETNIA GWARANCJA.



F. Lubański, Kraków, ul. św. Anny 2.

FIRANKI, PORTJERY I KAPY NA ŁÓŻKA

poleca w wielkim wyborze i po cenach bardzo przystępnych firma

KAROL JAROSZ
Kraków, Floryańska 35

KAPELUSZE damskie

o 30% taniej jak wszędzie — sprzedaje „ANTONINA" pracownia kapeluszy damskich
Kraków, Floryańska 13, I. p. ofic.

- Przyjmuje wszelkie roboty modniarskie. -

REKLAMA
rozwija handel i przemysł

Dr Witold Lipiński

ordynuje w chorobach
-- skórnych --
i wenerycznych
Aleja Mickiewicza L. 14.
od godz. 2—5 popoł.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. red. Dr. Lipiński. Drukarnia i kliszarnia „Nowości Illustrowane" pod zarządem L. Gronusia (firma Friedleina).